

prof. Bolesław Faron

„Lubię czuć drewno”

Wspomnienia i refleksje o Jerzym Jakubowie i jego dziele

Tekst ten rozpocznę od dygresji lingwistycznej. W różnych publikacjach na temat twórcy zauważyłem, że ich autorzy nie odmieniają jego nazwiska. Piszą więc: Jerzego Jakubów, Jerzemu Jakubów, itp. Moje zaś wycucie językowe każe mi, jak to jest w przypadku polskich nazwisk, również je odmieniać. Miałem kolegę, który nazywał się Mieczysław Stefanów. Nikt nigdy nie wpadł na pomysł, ani w pismach urzędowych, ani w tekstach o nim, ani w prywatnych rozmowach, by nie odmieniać jego nazwiska. Zawsze mówiło się i pisało Mieczysława Stefanowa, Mieczysławowi Stefanowowi, itp. Takiej zatem formy będę używał w tym artykule.

Jerzego Jakubowa poznałem dość późno, bo w lipcu 2006 roku w Zakopanem. Udałem się tam na obchody kolejnej rocznicy śmierci Władysława Hasióra. Na zakończenie tych uroczystości, wśród których miało miejsce wręczenie nagrody imienia zakopiańskiego artysty, w restauracji Halit u wejścia do Doliny Kościeliskiej odbyło się spotkanie towarzyskie na cześć laureata tego zaszczytnego wyróżnienia. Otrzymał je Jerzy Jakubów. Ponieważ wszyscy zebrani chcieli z nim zamienić choć parę zdań, nie było okazji do dłuższej konwersacji. Parę zdań o nauce w szkole Kenara w Zakopanem, o znajomości z Hasiorem, o fascynacji drewnem jako materiałem sztuki i jako sztuką samą w sobie. To tyle. Tam miałem okazję poznać żonę grafika Mariolę Jakubów. Wyróżniała się na tle nielicznych na przyjęciu kobiet urodą, niebanalnym strojem i długimi do pasa włosami oraz tym, że umiała bez końca opowiadać o artystycznych pasjach swojego męża, o urodzie Sudetów i Rudaw Janowickich.

Następne moje spotkanie z artystą miało miejsce na początku marca 2007 roku w Krakowie. Wtedy bowiem odbyła się jego wystawa grafiki w Galerii Exlibris na krakowskim Podgórzu. Wziąłem udział w wernisażu. Od Jerzego Jakubowa otrzymałem w prezencie drzeworyt z cyklu *Romska droga krzyżowa*. To niewielkich rozmiarów głowa Chrystusa wypełniająca całą przestrzeń z aureolą czerwonego koloru. Historycy sztuki, duchowni, zwykli zjadacze chleba zwracali uwagę, że w tym cyklu brak podstawowego rekwizytu chrystusowej męki – krzyża. Fakt ten wytłumaczył znakomicie broniący tym samym koncepcji artysty, Krajowy Duszpasterz Romów, ks. Stanisław Opocki z Limanowej, który napisał: „Krzyż niewidoczny – to nie brak Krzyża. Ta nie-

obecność krzyża jest wyrazem naszej obojętności na cierpienie drugiego” (Cyt. na podstawie Lech L. Przychodzki *Misterium tożsamości. Jerzego Jakubów droga do gór i ludzi*. Jelenia Góra 2007, s. 93). Drzeworyt artysty wisi w moim wiejskim mieszkaniu, wzbudzając zainteresowanie odwiedzających mnie znajomych, często zadających właśnie pytanie o brak krzyża na grafice przedstawiającej mękę Chrystusa.

Po tym krakowskim spotkaniu mój kontakt z artystą się urwał. Nastąpiła dłuższa przerwa. Radykalnie, można rzec, wręcz rewolucyjnie zmieniła się sytuacja w sierpniu 2014 roku, kiedy to wraz z kilkusobową grupą krakowskich i sądeckich znajomych postanowiliśmy odbyć wędrowkę szlakiem zamków dolnośląskich, planując na tej trasie również Kowary i wizytę w pracowni Jerzego Jakubowa.

Zwiedzanie Kowar rozpoczynamy od kościoła parafialnego pod wezwaniem imienia Najświętszej Marii Panny. Zamknięty. Ale tuż obok kościoła, przy placu Franciszkańskim mamy pierwszy kontakt z Jerzym Jakubowem. To kilkumetrowa figura św. Franciszka z Asyżu, wyrzeźbiona w piaskowcu, przedstawiająca postać w habitie franciszkańskim, przepasanym charakterystycznym dla tego zakonu sznurem, z dobrotnie wyciągniętymi przed siebie dłońmi, chyba do Boga, może do ludzi?

Z kolei udajemy się na ulicę 1 Maja. Tu podziwiamy barokowe i rokokowe fasady odrestaurowanych kamienic, wybudowanych w stylu klasycystycznym. Przy ulicy 1 Maja 1a zwraca naszą uwagę klasycystyczny ratusz, jak się dowiadujemy z turystycznej ulotki, zbudowany w 1789 roku, przebudowany w XIX wieku. Wchodzimy do owalnego holu, zwracamy uwagę na polichromię, herb Kowar. Kiedy zamierzamy opuścić ratusz podchodzą do nas młoda pracownica urzędu i powiada: – nie widzieliście państwa jeszcze naszej sali obrad Rady Miejskiej. Zapraszam na pierwsze piętro. Jak spod ziemi zjawia się mężczyzna w dojrzałym wieku, pyta o cel naszej wizyty. Na wieść, że interesuje nas sala obrad, za chwile przychodzi z kluczami, otwiera pomieszczenie i z pasją opowiada historię ratusza, objaśnia detale owalnego pomieszczenia, na suficie alegoryczne wizje symbolizujące ważne zawody miasta: górnictwo, kowalstwo i zielarstwo. Prowadzi nas do Izby Tradycji Miasta Kowary, gdzie wyeksponowana jest przede wszystkim historia tamtejszego górnictwa. Opowiada o planach rozwoju

miasta, ma wizję stworzenia tu ośrodka sportów narciarskich... Na moje pytanie, czy jest przewodnikiem, czy pracownikiem magistratu, słyszę odpowiedź: – jestem burmistrzem, nazywam się Mirosław Górecki. Zainteresowało go nasze zaciekawienie Kowarami. Kiedy się dowiedział, że idziemy z wizytą do kowarskiego artysty, ucieszył się. – To mój przyjaciel – rzekł. Pracuje w Warsztacie Terapii Zajęciowej w Kowarach jako instruktor plastyki i terapeuta. Wskazuje nam drogę do Wojkowa, dziś ulica Wojska Polskiego 24 a. Po drodze koniecznie zobaczcie Park Miniatur Zabytków Dolnego Śląska na terenie dawnej fabryki dywanów. Przy pomocy nowoczesnej nawigacji i rad burmistrza bez trudu trafiamy do starej kuźni w Wojkowie, w której mieszka artysta.

Na progu domu witają nas grafik, jego żona i młodszy syn Jakub, absolwent Liceum Plastycznego w Cieplicach i Wydziału Inżynierii Dźwięku w jakiejś prywatnej uczelni we Wrocławiu. Rzut okiem na wkomponowany w tutejszy krajobraz, w zbocze Rudaw Janowickich dom. Zdziwienie, że ze starej kuźni można było wygospodarować pokaźną powierzchnię mieszkalną. Ślady przeszłości to XIX-wieczne kowadło, w niewielkim ogrodzie kuta furtka, granitowe obramowanie studni, kamienne słupki..., a pod ścianą niezliczona ilość suszących się grzybów, które lato w tutejszych lasach obrodziły. O technice ich wspólnego zbierania, porozumiewania się specjalnymi sygnałami dowiadujemy się od pani Marioli.

Wchodzimy do środka. Tu na parterze przy suto zastawionym stole prowadzimy niekończącą się gawędę o historii rodu Jakubówów, ich sielskiej i dramatycznej przeszłości na kresach wschodnich, o repatriacji w 1945 roku i o osiedleniu się w Kotlinie Jeleniogórskiej. Gospodarz opowiada o swojej drodze artystycznej, o drewnie jako materiale twórczym, o jego miłości do niego, którą wyniósł z tradycji rodzinnej. Wspomina o osobistych kontaktach w młodości z artystą grafikiem Józefem Gielniakiem, o jego radach i korektach początkowych prób rycia w drewnie (1969-1972), o pobycie pod Tatrami w zakopiańskim Państwowym Liceum Sztuk Plastycznych im. Antoniego Kenara, o kontaktach z Władysławem Hasiorem, spod którego wpływu rychło się wyzwolił. Trzeba przyznać, że Jerzy Jakubów narratorem jest znakomitym.

(Dokończenie na stronie 4)